

Jolanta Maria Kaleta



**WROCLAWSKA MADONNA**

Jolanta Maria Kaleta

# Wrocławska Madonna



PSYCHOSKOK  
Konin, 2013

Jolanta Maria Kaleta  
„Wrocławska Madonna”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013  
Copyright © by Jolanta Maria Kaleta, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji  
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana  
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok  
Projekt okładki: Anna Pereświat-Sołtan (pracownia@klimaciarnia.pl)

ISBN: 978-83-6354-817-9

Wydawnictwo Psychoskok  
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Festung Breslau, 1945 rok

## PROLOG

Gdy kolejna bomba wybuchła tuż obok, syjąc na głowy ludzi siedzących w piwnicy pył, kurz i piach, ksiądz Alfred Tepper wznowił głośne odmawianie „Zdrowaś Mario”. Starsza pani Lose wtórowała mu dzielnie, a dziewczynki od Millerów, Helga i Greta, mocniej przytuliły do siebie swoje szmaciane lalki. Ich matka siedziała milcząca ze szklanym wzrokiem utkwionym w księdzu, jakby od niego oczekiwała wydania rozkazu zaprzestania bombardowań tego dogorywającego miasta.

Od trzech dni ilość rosyjskich nalotów znacznie wzrosła. Jak niosła plotka, szeptem podawana z ust do ust, były one wynikiem braku zgody komendanta twierdzy Breslau, generała Niehofa, na kapitulację. Był szósty maja, Hitler od kilku dni już nie żył, a generał wciąż nie chciał poddać Rosjanom miasta. Ci, którzy z różnych przyczyn nie zdecydowali się na ucieczkę z Breslau w styczniu czterdziestego piątego roku, bądź wrócili do domów kilka tygodni później, od lutego przeżywali prawdziwe piekło. Codzienne bombardowania, ostrzał artyleryjski, pożary, brak prądu, gazu i wody. Mieszkańcy, a byli to przeważnie ludzie starsi, kobiety i dzieci poniżej 12 roku życia, przemykali pomiędzy płonącymi kikutami murów jak szczury.

Wiosną Rosjanie wdarli się w obręb miasta od strony południowej i walki toczyły się o każdy dom, każdą ulicę. Wśród ruin poniewierały się fragmenty ludzkich ciał, które to potworne wybuchy rozrzuciły na wszystkie strony. Nie wożono

już zmarłych i zabitych na cmentarz. Grzebano ich tam, gdzie zginęli. Powszechne stało się pijaństwo i rozpasanie obyczajowe. Nikt przecież nie znał dnia ani godziny swojej śmierci i wielu chciało zakosztować wszystkiego zanim ona nadejdzie. Niektórzy woleli nie czekać i popełniali samobójstwo.

Nieliczni skupili się przy garstce kapłanów, którym komendant twierdzy pozwolił pozostać w Breslau. Taką trzódkę prowadził poprzez morze ognia i krwi ksiądz Tepper. Pośród kanonady radzieckich dział błagał swego Boga, aby zakończył tę bezsensowną walkę o miasto, które już przestało istnieć.

Nagle upiorna strzelanina zamarła. Ciszę zakłócały jedynie słowa modlitwy szeptane zaschniętymi ustami starej pani Lose:

– I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

Po godzinie oczekiwania, nie wiadomo właściwie na co, grupka ludzi ukrytych w piwnicy kamienicy przy ulicy Mathiasstrasse 24 z niedowierzaniem wsłuchiwała się w głos płynący z bardzo odległego, niemożliwego do zlokalizowania głośnika. Informował on, że miasto skapitulowało. Po chwili ten sam głos oznajmił coś w bardzo obco brzmiącym języku.

– To koniec – powiedział ksiądz Alfred Tepper. – Koniec walk. Rosjanie nadają komunikat o kapitulacji.

– Boże... – szepnęła pani Millerowa. – Bóg w końcu wysłuchał księdza...

Otrzepując ubrania z kurzu i pyłu, precyzyjnie się ciasnym, zawalonym gruzem korytarzem do wyjścia na ulicę. Przywitał ich wszechobecny od miesięcy swąd pożarów i gęsty dym. W ciepłym majowym powietrzu szczególnie dokuczliwy, wciśkający się do ust i gryzący w oczy. Parafianie kościoła pod wezwaniem świętego Bonifacego, spędziwszy kilkanaście godzin w piwnicy wraz z księdzem, ucałowali jego chudą dłoń i pospieszili w kierunku ruin, które nie tak dawno były ich domem.

Duchowny jakiś czas rozglądał się niepewnie, jakby nie wiedział, w którą stronę powinien się udać. Gdy zobaczył

w oddali dwie ocalałe wieże kościelne, uśmiech rozjaśnił jego wymizerowaną twarz, pokrytą ciemną szczeciną kilkudniowego zarostu. Dom Boży, w którym był nauczycielem religii jeszcze przed wojną, ocalał. Zamiatając i tak już okropnie brudną sutanną pył z chodnika, szybkim krokiem skierował się w stronę cudem ocalałej świątyni. Z oddali dobiegła go skoczna melodia grana na harmonii i obce, rosyjskie słowa piosenki śpiewanej przez zwycięskich żołnierzy. Kiedy do jego uszu dotarł warkot silnika samochodowego, skrył się w pobliskich ruinach kamienicy i z przerażeniem obserwował, co działo się na ulicy.

Na pace ciężarówce pokrytej błotem, pyłem i kurzem siedziało kilku żołnierzy w brudnych i poszarpanych szynelach. Jeden z nich grał na harmonii, a pozostali pijąc, zapewne wódkę, wprost z butelki, ochoczo śpiewali. W pewnym momencie dostrzegli w oknie na parterze pod numerem 18 coś, co ich zainteresowało. Zaczęli tłuc pięściami w dach szoferki, dając kierowcy do zrozumienia, aby się zatrzymał. Zeskoczyli z samochodu i wbiegli do bramy. Po chwili dały się słyszeć głośne krzyki kobiet i ordynarny, sprośny rechot żołnierzy.

– To pani Heffnerowa i jej córki – przemknęło księdzu przez myśl.

Kłęcząc wśród ruin bezradny, wsłuchując się w odgłosy brutalnego gwałtu, który przez ponad dwie godziny dokonywał się na jego bezbronnych parafiankach. Młodsza panna Heffnerówna, widać wyrwała się oprawcom, bo nagle wybiegła przed bramę prawie całkiem naga. Za chwilę jeden z żołnierzy dopadł ją, chwycił z tyłu za włosy i przewrócił na ziemię. Podbiegł drugi i trzymając dziewczynę za ramiona śmiał się, kiedy kolega szeroko rozłożył jej nogi i gwałcił. Potem zamienili się rolami. Jeszcze ten drugi nie skończył, kiedy z mieszkania wyszedł kolejny żołnierz, doskoczył do dziewczyny i obmacując jej piersi, czekał na swoją kolej ze spuszczoneymi poniżej kolan spodniami. Rechotał przy tym lubieżnie i lżył

leżącą dziewczynę najgorszymi przekleństwami, jakie tylko mowa rosyjska stworzyła.

Jedynie, co pozostało bezradnemu księdzu, to modlitwa do Boga o skrócenie cierpień tych kobiet. Widać jego słowa zostały wysłuchane, bo po chwili usłyszał kilka strzałów z karabinu i krzyki kobiet w mieszkaniu ucichły. Młodszej córce Heffnerowej żołnierz, gdy tylko zapiął rozporek, przyłożył pistolet maszynowy do krocza i nacisnął spust. Drobnym dziewczęcym ciałkiem wstrząsały śmiertelne drgawki w rytm oddawanych strzałów.

Kilka tygodni później ksiądz Tepper, razem z sędziwym proboszczem Georgiem Hauptfleischem, kończyli porządkowanie dokumentów kościelnych, które wydobyto spod gruzów domu parafialnego. Obydwaj cieszyli się, że w tym przypadku nie użyto bomb zapalających, tylko zwykłe, burzące. W przeciwnym razie z ksiąg metrykalnych, liczących kilkadziesiąt lat, zostałyby tylko popioły. Wierni parafianie, którym jak sądził Bóg w łaskawości swojej zezwolił przeżyć koszmar wojny, znaleźli wśród ruin także szaty liturgiczne proboszcza, Biblię i kielichy mszalne. Te ostatnie, niestety, nie nadawały się na razie do użytku. Wysprzątano też kościół i ksiądz Georg mógł na drzwiach świątyni wywiesić ogłoszenie o godzinach odprawiania nabożeństw.

Miał przed sobą trudny obowiązek pokierowania swoimi wiernymi w tych ciężkich dla nich wszystkich chwilach. Nowe władze miasta, Polacy, zajmowali ocalałe budynki, a ich, Niemców, wyrzucali dosłownie na bruk. Mimo to ci, którzy przeżyli ten straszny czas oblężenia, nie kwapili się do wyjazdu w nieznaną, do czego ich zachęcano. Część z tych, którzy uciekli w styczniu i cudem przeżyli, teraz wracała. Jak błędnie sądzili, do siebie.

Ksiądz Alfred nie miał żadnych złudzeń – Breslau to nie było już ich miasto. Przemianowano go na Wrocław i miał należeć do Polski. Świadczyły o tym nie tylko nazwy ulic,

którym po kolei każdego dnia zmieniano patrona na jakiegoś polskiego, ale także coraz większa ilość polskich osadników przybywających do miasta. W jego wieku, a miał już ponad czterdzieści lat, trudno tak szybko pojąć i zaakceptować zachodzące zmiany. Gdyby to od niego zależało, opuściłby to morze ruin już dziś. Ale był potrzebny. Nie tylko swoim parafianom, bo to rozumiałe, ale Polacy nie wypuszczali potrzebnych im do pracy Niemców. On od jutra musiał zostawić swoją parafię i pomóc przy porządkowaniu budynków należących do kurii arcybiskupiej. W innych okolicznościach uznałby to za awans, ale obecnie, w jego mniemaniu, będzie to wysługiwanie się okupantom. Nie wziął pod uwagę, że doktor Engelbert mówił o pracy na rzecz katolików i Kościoła.

Nie jeździły tramwaje, nadal wybuchały pożary, a brakowało wody, sprzętu i rąk do ich gaszenia. Czarny, gryzący dym wisiał nad tym umarłym miastem. Wymizerowani i brudni ludzie, snuli się pomiędzy gruzami w poszukiwaniu jedzenia, odzieży i ocalałych, nadających się do użytku mieszkań. W niewiele lepszej sytuacji znaleźli się pierwsi polscy osadnicy. Lokali mieszkalnych brakowało, i tak grabież ubogiego, tułaczego mienia były na porządku dziennym.

Ksiądz Tepper nie mógł w najmniejszym stopniu zrozumieć, co tych ludzi przyгнаło do tego zburzonego miasta.

– Chyba przyjechali rabować to, co jeszcze pozostało – mówił swoim parafianom.

Nie chciał uwierzyć, że tym osadnikom, decyzją jakiejś konferencji, odebrano rodzinną ziemię, domy i kazano tu przyjechać, do miasta, które przestało być niemieckie. Nikt jednak nie zadbał, aby poczuli się w nim jak u siebie w domu, aby stało się polskie.

Z uporem, choć bardzo powoli, życie wracało na tę wypaloną i zrujnowaną ziemię. Przemierzając ulice, z których usuwano gruz, ksiądz Alfred miał cichą nadzieję, że miasto



jednak pozostanie niemieckie. Polskie władze, chcąc upokorzyć Niemców, nakazały im nosić białe opaski na ramieniu. Dzięki temu widać było wyraźnie kto mieszkał w Breslau. Większość stanowili Niemcy.

Pewnego lipcowego popołudnia, idąc Gneisenaustrasse w kierunku tego, co pozostało z budynków arcybiskupstwa, ksiądz Tepper usłyszał za sobą wołanie:

– Księżu Alfredzie! Księżu Alfredzie!

Zaciekawiony przystanął i się obejrzał. W jego kierunku biegł, lekko utykając, bardzo młody mężczyzna, jeszcze chłopak w zasadzie. Wychudzony, jak oni wszyscy po tej strasznej wojnie, z bardzo krótko obciętymi, jasnymi włosami, w wojskowych spodniach żołnierza Wehrmachtu, ale w cywilnej flanelowej koszuli w kratę. Skądś go znał, ale nie mógł sobie przypomnieć okoliczności.

– To ja, Franz Lissner! Wasz uczeń z lekcji religii! – chłopak zawołał z daleka.

Teraz sobie przypomniał. Franz Lissner. Uroczy wyrostek, rozmiłowany w malarstwie, niezwykle uzdolniony. Po naukach katechizmu przychodził do zakrystii, gdzie razem szkicowali widoczne z okien zabytkowe kamienice. Czasami szli w okolice katedry i rysowali jej monumentalną bryłę. Chwytał go w objęcia i zapłakał.

– Franz, mój drogi chłopcze! Ty żyjesz...

Pamiętał, że w czterdziestym trzecim roku jego młodziutki przyjaciel jako siedemnastolatek został wcielony do Wehrmachtu i wyruszył na front. Po dwóch miesiącach przyszedł od niego pierwszy i zarazem ostatni list.

– Żyję, proszę księdza, żyję... I rodzice przeżyli... Byłem ranny. W nogę. Ale nie groźnie – opowiadał, chlapiąc i pociągając nosem, bo łzy wylewały się z niego nieprzerwanie.

– Jak wam się żyje? Nie głodujecie?

– Nie więcej niż pozostali. Zarabiam u Polaków malowaniem tabliczek z nowymi nazwami ulic. Na chleb wystarcza.

– Zaraz napiszesz podanie o zapomogę do księdza Engelbrandta. Z pewnością tobie nie odmówi.

Objęci, wspominając jeden przez drugiego miniony kosztmar, jak kiedyś skierowali swe kroki w stronę okaleczonej przez bomby katedry.

Kilka dni później ksiądz z dumą wręczył Franzowi ocalały blok rysunkowy, pudełko kolorowej kredy, opakowanie farbek olejnych i kilkanaście pędzli.

– Znalazłem w gruzach, przy Kunst Schule – oznajmił z dumą.

– Boże! Proszę księdza! To istne skarby! Dziękuję! – wołał rozradowany chłopak, kładąc przybory rysunkowe na stole w małej salce katechetycznej kościółka świętego Bonifacego.

– Pamiętasz te stare deski z ołtarza w zburzonym Peterskirche? Te jodłowe? Będziesz na nich mógł malować.

– Ja nie znam techniki takiego malowania – zaproponował Franz.

– Ale poznasz – triumfalnie zawołał Tepper. – Spójrz tylko, co dostałem!

W rękę trzymał egzemplarz podręcznika autorstwa Maxa Doerna „Materiał malarski i jego zastosowanie”.

– Będziemy mogli teraz naprawdę uczyć się malowania. Zwłaszcza, że dostałem do naprawy i konserwacji kilka wybitnych dzieł. Pewno jeszcze ich nie oglądałeś – z wypiekami na policzkach radował się duchowny. – Nie ma to jak dobre wzorce do naśladowania.

– O czym ksiądz mówi? Przecież zbiory muzealne wywieźli. Ponoć Hanke osobiście kierował akcją?

– Tak, tak. Z muzeów powywoził, ale z kurii ksiądz biskup sam zarządził ewakuację do klasztoru w Heinrichau, jeszcze w czterdziestym trzecim, jak tylko zaczęli nas bombardować ci zbrodniarze z Anglii. Teraz doktor Engelbert wszystko przywiózł. W zeszłym tygodniu pomagałem mu wypakowywać – opowiadał podekscytowany. – Zresztą sam jutro zobaczysz.

Gdy następnego dnia, zgodnie z obietnicą, położył przed nim na stole dwa kawałki drewnianej deski, które niegdyś tworzyły całość, Franzowi zaparło dech w piersiach. Przed nim leżał obraz namalowany przecudnymi kolorami na lipowej desce. W centralnej części obrazu widniała święta Madonna trzymająca na kolanach nagie dzieciątko. Jej ciemne włosy lśniły i falowały, spływając na suknię w ciemnoniebieskim kolorze. Prawie czarna, aksamitna poduszka, na której spoczywało dzieciątko, ozdobiona była niezwykle kunsztownie namalowanymi frędzlami. Z ogromną czułością spoglądała na maleństwo pięknymi, czarnymi oczyma. Drugie tło tworzył pagórkowaty pejzaż, w którym dominowały dwie duże, pochylone nad Madonną palmy, dając ożywczy cień jej i dziecięciu.

– Przenajświętsza panienska... Jak żywa... – szepnął oszłomiony urodą dzieła. – Kto tak pięknie malował?

– Łukasz Cranach. Nasz niemiecki malarz epoki Renesansu – z pychą nieuchodzącą duchownemu wyjaśnił ksiądz.

– Dlaczego jest w dwóch kawałkach? Czy ktoś to zrobił celowo? – dopytywał się Franz, nie odrywając oczu od obrazu. Pokochał go od pierwszego wejrzenia, niczym piękną kobietę.

– To chyba ze starości – odparł zatroskany Tepper. – Ma prawie pięćset lat. Żebyś ty widział w jakich warunkach te wszystkie dzieła sztuki wożono w tę i z powrotem, jak je składowano i przrzucano z jednego kąta w drugi, aby tylko nie wpadły w ręce tych słowiańskich barbarzyńców – wyjaśniał ze łzami w oczach. – I tak wszystko na marne.

– Jak to? Nie rozumiem? – Franz spojrział na niego zdziwiony.

– Mówił mi dr Engelbert, że nas niedługo stąd wyrzucą, a wszystko to – wskazał ręką na leżący na stole obraz – musimy zostawić tym... polaczkom.

\* \* \*

Kustos Muzeum Archidiecezjalnego, ksiądz Walerian Łukasik, z szuflady biurka stojącego w jego gabinecie, w budynku muzeum przy ulicy Kanonia na Ostrowie Tumskim, wyjął nożyk do papieru. Srebrny, z pięknie toczoną rączką i wygrawerowaną łacińską sentencją na ostrzu. Zanim użył go do rozcięcia białej, eleganckiej koperty chwilę kontemlował jego misterne wykonanie. Po czym wzrok przeniósł na list, który wraz z poranną pocztą siostra Józefa położyła na jego biurku. Znaczek przedstawiał Wieżę Eiffla.

– Z Francji... – zadziwił się. – Nie przypominam sobie, abyśmy z kimś świeckim w tym kraju utrzymywali stosunki.

Jednym, szybkim ruchem rozciął kopertę i wyjął list. Był napisany na jasnobłękitnym firmowym papierze instytucji Larusse w Paryżu. Tak przynajmniej wynikało z granatowych liter w nagłówku pisma. To znane francuskie wydawnictwo zwracało się z prośbą do Muzeum o nadesłanie kolorowej fotografii znajdującego się w zbiorach kurii obrazu Łukasza Cranacha „Madonna Pod Palmami”. Przygotowują do druku album i jest ona im niezbędna.

Ksiądz Walerian westchnął głęboko. Dopiero co zjadł obiad, a obraz wisiał w prywatnej kaplicy jego ekscelencji arcybiskupa. Wiodły do niej dwa długie korytarze i dość strome schodki. Kustos zamknął starannie drzwi na klucz, swoim zwyczajem splótł dłoń za plecami i poszedł obejrzeć dzieło renesansowego mistrza. Po drodze usiłował sobie przypomnieć, kiedy to ostatnio miał je w ręku, ale nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Po kilku minutach miał je przed oczyma.

– Przenajświętsza Panienko... – jęknął szeptem. – A co to za pęknięcia...?

Istotnie. Przez całą długość obrazu, wzdłuż słojów drewna, biegła brzydka rysa, i to akurat tak nieszczęśliwie, że delikatny uśmiech Madonny został rozdarty na dwoje. Drugie, równie długie pęknięcie znajdowało się nieco z boku i deformowało rysunek palmy.

– W takiej postaci nie mogę zrobić zdjęcia – pomyślał, patrząc zmartwiony na obraz. – Trzeba dać go najpierw do konserwacji. Tylko ile to będzie kosztowało? Czy zechcą zrobić za Bóg zapłać, jak się przynależy Kościołowi?

Wrócił do gabinetu na piętrze i spojrzął w kalendarz. Na jutrzejszy poranek nie miał nic pilnego zaplanowane, mógł zatem pofatygować się do Muzeum Śląskiego i porozmawiać na temat konserwacji Madonny.

Gdy kierowniczką pracowni konserwacji zabytków, pani magister Maria Kempisty, wzięła obraz z rąk księdza Waleriana i odwinęła papier, w który był zapakowany, coś ją tknęło. Nigdy w swoim życiu nie widziała tego obrazu w oryginale. Nie było takiej możliwości. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, czyli od końca wojny, wisiał w prywatnej kaplicy arcybiskupa wrocławskiego, gdzie zwykli śmiertelnicy nie mieli dostępu. Znała go natomiast z fotografii, które oglądała już na studiach i później w swojej pracy zawodowej. A mimo to, coś w tym obrazie jej się nie spodobało.

Szybko zmierzyła jego wymiary. Nie zgadzały się z tymi podanymi w katalogu dzieł Cranacha, opracowanym jeszcze grubo przed wojną. Leżący przed nią obraz był o trzy centymetry mniejszy. Zarówno na długości, jak i na szerokości. Popatrzyła na sygnaturę. Powinna być umieszczona w lewym, dolnym rogu, w niebieskim oczku pierścienia namalowanego prawdziwą, złotą farbą. Niestety, zobaczyła jedynie jakąś niestarannie pacniętą pędzlem żółtą plamę, a na niej bohomazy w niczym nie przypominające starannych inicjałów mistrza Cranacha. Spojrzała wymownie w oczy pobladłego, bo przeczuwającego coś złego, księdza Łukasika.

– Proszę księdza – zaczęła niepewnym głosem. – Obawiam się, że ten obraz to kopia, nie oryginał.

– Niemożliwe. Pani się myli – zaprotestował.

– Raczej nie – zaprzeczyła, kręcąc głową. – Ale jest oczywiste, że dokonamy szczegółowej ekspertyzy. Bardzo szczegółowej.

Zaraz zbierze się cały zespół i zaczniemy badanie – zapewniała roztrzęsionym głosem.

Kto jak kto, ale ona doskonale zdawała sobie sprawę jaka była wartość, nie tylko artystyczna tego dzieła, ale także i materialna. O wydzwiku politycznym sprawy, gdyby jej przypuszczenia okazały się słuszne, wołała nawet nie myśleć. Przecież to w rękach Kościoła było to wspaniałe dzieło i on ponosił odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo.

Dwa miesiące później werdykt był jednoznaczny. Obraz Madonny przyniesiony przez księdza kustosa z Muzeum Archidiecezjalnego był kopią. Wykonaną co prawda na desce pochodzącej ze średniowiecza, ale wykonaną współcześnie. Wskazywało na to szereg elementów. Deska, którą użyto do wykonania kopii była jodłowa a nie lipowa jak w oryginale. Brak było grubej warstwy podkładu z zaprawy klejowej, która nie tylko czyniła niewidocznymi słoje drewna, ale także dawała po latach charakterystyczne pęknięcia. Kopista nie był także w stanie oddać niezwykłego czaru i słodyczy, którymi obdarzył twarz Madonny mistrz Cranach. A starannie i ze szczegółami namalowane przez niego listki palmy, zwieszające się nad panną z dzieciątkiem, kopista zastąpił prostackimi maźnięciami pędzla.

Za zgodą Kurii obraz został wysłany do stolicy w celu poddania go kolejnej ekspertyzie. Gdy kilka miesięcy później ksiądz kustosz otwierał kopertę z Muzeum Narodowego w Warszawie, ręce mu drżały, a na posiwiałych skroniach pojawiły się kropelki potu. Zanim spojrzał na pismo, zmówił w duchu modlitwę do świętego Antoniego, patrona rzeczy zaginionych. On chyba jednak pozostał głuchy na te prośby, bo z pisma jasno wynikało, że dostarczony do ekspertyzy obraz Cranacha był kopią. Z ciężkim sercem kustosz udał się na rozmowę do sekretarza arcybiskupa, księdza Jana Bednarskiego.

– Jest pismo z Warszawy – rzekł od progu. – Niestety. To kopia.

– Pokaż – siedzący za biurkiem ksiądz, w średnim wieku, ale już lekko szpakowaty, wyciągnął szczupłą rękę po list.

Nałożył na nos grube szkła i zatopił się w czytaniu. Po kilku minutach złożył kartkę we czworo i wrzucił do szuflady. Wbił czujne spojrzenie w księdza Waleriana, starszego znacznie od siebie, zmęczonego życiem kustosa, którego siły ta sprawa przerastała.

Po chwili wstał z za biurka i zaczął przechadzać się w poprzek swojego obszernego gabinetu. Od okna wychodzącego na Kanonię, do ściany, na której wisiał zgrabny krucyfiks. Za każdym razem, kiedy podchodził do okna, chwilę spoglądał na ludzi idących chodnikiem. Z wysoka, z drugiego piętra, wydawali się tacy malutcy i bezradni, a jednak to któryś z nich dopuścił się takiego świętokradztwa. Kiedy podchodził do krucyfiksu, zawieszał wzrok na Zbawicielu i szeptem odmawiał modlitwę o wsparcie w tej trudnej dla Kościoła chwili.

Ksiądz Łukasik siedział na krześle przy biurku i wodził wzrokiem za swoim pryncypałem. Zdawało mu się, że minęły długie godziny zanim sekretarz usiadł po drugiej stronie dębowego, solidnego biurka i otworzył dolną szufladę. Wyjął z niej „Gazetę Robotniczą” i podał Walerianowi.

– Przeczytaj, co piszą.

Ksiądz kustosz spojrział na pierwszą stronę i poczuł okropną suchość w ustach. Z trudem przeczytał tytuł artykułu:

– „Polscy księża wyprzedają dobra narodowe Niemcom”.

Autor tekstu podpisany tajemniczo inicjałami A.D. sugerował jakoby to urzędnicy Kurii samowolnie wywieźli do Niemiec Zachodnich dzieło Cranacha, a może jeszcze wiele innych i tam sprzedali, a pieniądze zatrzymali dla siebie.

– Przecież to nieprawda – zaoponował Łukasik.

– To wiemy tylko my, a oni korzystają z okazji, aby Kościół oskarżyć o najgorsze zbrodnie. Byleby tylko nas poniżyć w oczach wiernych.

– To może powinienem złożyć formalne zawiadomienie do prokuratury o kradzieży? – spytał kustosz z nadzieją w głosie.

Sekretarz chwilę milczał, po czym odrzekł krótko, lecz stanowczo:

– Nie. Dopóki nie ma zgłoszenia na milicję i do prokuratury, to informacje o kradzieży mogą uchodzić za plotki. Jak zgłosimy, to rozpęta się burza, nie tylko w Słowie i Robotniczej, ale na całą Polskę. Dla Kościoła może to mieć fatalne skutki. Pomyślę o innym rozwiązaniu... Z Bożą pomocą... – dorzucił, zerkając na krucyfiks wiszący na ścianie.

\* \* \*



Zapaść już zmierzch, gdy Marek Wolski zamknął starannie drzwi salonu Desy i skierował się na przystanek tramwajowy przy Świerczewskiego. Nieliczne latarnie i światła pustych witryn sklepowych rozświetlały ciemności grudniowego wieczoru. Idąc pod arkadami, zatrzymał się przy witrynie księgarni. Chwilę przyglądał się rozłożonym wydawnictwom, ale poszukiwanego albumu polskiego malarstwa okresu Młodej Polski nie dostrzegł. Szumnie zapowiadany od miesiąca, nadal w sklepie był niedostępny. Zrezygnowany machnął ręką i przyspieszył kroku. Z daleka usłyszał znajomy turkot tramwaju. Jeżeli ucieknie mu „czwórka”, to spędzi na przystanku pół godziny, czekając na kolejną. Dopadł tylnego pomostu w ostatniej chwili.

Wysiadł na pętli na Biskupinie i cichą uliczką Norblina zmierzzał w stronę swojego bloku przy Sempołowskiej. Nowiutki, wybudowany kilka lat temu w enklawie domków jednorodzinnych, spełniał wszystkie wymogi nowoczesnego budownictwa. Centralne ogrzewanie dostarczane przez miasto wprost z elektrociepłowni, w łazience bieżąca gorąca i zimna woda, winda, balkon. Na podłogach mozaika parkietowa. Drzwi lakierowane na biało.

Mieszkanie było maleńkie, tylko dwa pokoje, ale mieszkał w nim sam. Ani się spostrzegł, jak pochłaniająca go praca wypłoszyła wszystkie jego sympatie. Kiedy one oczekiwały, że pójdą z nim do kina albo na dancing, on ślęczał nad pracami swoich leniwych studentów, albo pisał kolejną rozprawę naukową. Odchodziły, a następne także nie rozumiały dlaczego muszą czekać samotnie wieczorami, aż on ukończy swoją pracę doktorską. A promotor, profesor Kozubek, zgłaszał ciągle nowe zastrzeżenia. Nie mogąc darować Wolskiemu, że nie chciał doktoryzować się z socrealizmu w Związku Radzieckim, tylko uparł się przy Cranachu, stale rzucał mu kłody pod nogi. Zresztą Marek nie szukał dziewczyny na stałe. Ograniczał się do przelotnych znajomości, co to do niczego nie zobowiązują, ale też nie dają prawa do zadawania pytań w rodzaju:

– Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś? Kiedy będę mogła przedstawić cię rodzicom? Czy masz wobec mnie poważne zamiary?

Gdy tylko któraś, nawet bardzo ładna, zadała choć jedno takie pytanie, oznaczało ono koniec znajomości.

Jednak od kilku miesięcy czuł się wolnym człowiekiem. Obronił doktorat, a profesor Kozubek przeszedł na emeryturę. W Instytucie Historii Sztuki, gdzie Wolski był asystentem, zapanowała radość. Nowy dziekan, choć partyjny, był przede wszystkim historykiem sztuki, a dopiero później komunistą. Tylko, że ładnych dziewczyn, chętnych na spędzanie czasu we dwoje, zrobiło się jakby mniej. Rówieśnice Wolskiego powychodziły za mąż i urodziły dzieci. Dostrzegał powłóczyście spojrzenia studentek, ale „te smarkate”, jak je nazywał, nie budziły jego zainteresowania.

Miał czterdzieści lat i na tyle wyglądał. Raczej wysoki niż niski, raczej szczupły niż gruby, choć o męskiej sylwetce. Bardziej brunet niż szatyn. Tylko oczy wyraziste. Brązowe, okolone czarnymi rzęsami, gęstymi jak u panienki. Przed laty to właśnie one wzbudzały największy zachwyt u dziewczyn. Długie i kręcone kiedyś włosy, teraz obcinał króciutko, aby wydawały się gęściejsze, choć o zakolach jeszcze nie było mowy. Tylko trochę srebrnych nitok na skroniach. Nawet okularów do czytania nie musiał zakładać. Ubierał się swobodnie. Żadnych garniturów. Spodnie i sweter. Zgrabna, sportowa sylwetka, typowy „chłopak śląski – w barach szeroki, w tyłku wąski”, jak mówiły kiedyś jego ciotki.

Rozmiłowany w malarstwie nie miał na tyle talentu, aby dostać się do wssb, więc skończyło się na historii sztuki. Bardzo pracowity, mogąc poszczycić się głęboką wiedzą z zakresu Renesansu, po studiach został na uczelni, ale wolne chwile poświęcał szkicowaniu lub malowaniu akwarel. Lubił czas spędzać na interesującej rozmowie, w teatrze czy sali wystawowej, a nie w klubie studenckim przy głośniejszej muzyce.

O ile jeszcze kilka lat temu serce potrafiło mu podskoczyć w charakterystyczny sposób, dając wyraźnie do zrozumienia, że się zakochał, tak teraz żadna kobieta nie wzbudzała w nim takich uczuć, jedynie fizyczne zainteresowanie. A to według niego nie mogło być podstawą do zamieszkania razem, a tym bardziej do zawarcia małżeństwa. Dlatego nadal mieszkał sam.

Po kolacji włączył radio i chwilę kręcił potencjometrem, szukając znajomego sygnału. Jak zwykle głośne szумы i charakterystyczny charkot skutecznie zagłuszały fale. Wolski jednak tak łatwo się nie poddawał. Koniecznie chciał usłyszeć rzetelny komentarz do podpisanego kilka dni temu układu granicznego między Polską a RFN. Polscy dziennikarze, chodzący na pasku rządzących, zgodnie piali w zachwycie nad sukcesem obozu socjalistycznego. Cierpliwość opłacała się i z radia popłynął głos spikerki:

– Tu rozgłośnia polska Radia Wolna Europa.

Siedząc na wersalce z nogami opartymi o stolik, palił papierosa i co jakiś czas głośno komentował trwającą w radiowym studio dyskusję.

Ostry dźwięk dzwonka telefonu przywołał go do peerelowskiej rzeczywistości.

– Kogo to znowu diabli niosą o tej porze? – burknął pod nosem, sięgając po słuchawkę.

Po chwili jego twarz rozjaśniła się i bez żalu ściszył radio.

– Witam księdza doktora! Chyba u was radość, bo doczekaliście się owoców z dawno zasianego ziarna? – spytał wyraźnie ucieszony.

– Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – odparł rozmówca.

– Przez pięć lat jeżdżono na nas jak na łysej kobyle, nie przy mierzając. Jednak teraz przez gardło im nie przeszło, że to Kościół zrobił zaczyn. Może kolejne pokolenia należycie docenią inicjatywę naszego arcybiskupa – dorzucił smętnie na koniec.

– Wiem, wiem. Należy mieć nadzieję, ale u mnie jej jakby coraz mniej – zmarkotniał Wolski.

– A u mnie wręcz odwrotnie – głos z drugiej strony słuchawki zabrzmiał optymistycznie. – Dzwonię do ciebie, bo właśnie mam nadzieję, że nam pomożesz.

– Nam? – zdziwił się.

– Kościołowi – enigmatycznie odpowiedział ksiądz.

– O! Brzmi bardzo tajemniczo. A jaśniej nie możesz?

– Nie mogę. Kiedy znajdziesz chwilkę, aby nawiedzić mnie w kancelarii?

– Nawet jutro. Przed południem – zaproponował Wolski.

– Wiesz, że jestem wolnym człowiekiem, odkąd Kozubek na emeryturze.

– To czekam o jedenastej.

Wolski zaintrygowany rozmową z sekretarzem kurii, narzucił na ramiona kożuch i z papierosem wyszedł na balkon. Ze swojego dziesiątego piętra spoglądał na pogrążające się we śnie Sępólno i Biskupin. Bezśnieżna jak na razie zima nie była atrakcyjna. Czarne, bezlistne drzewa wyglądały jak martwe kikuty. Niebo zasnuwane szarymi, ciężkimi chmurami i snujące się przy ziemi dymy z niedogaszonych ognisk, w których za dnia palono resztki jesiennych liści, stwarzały ponurą atmosferę. Ciemności rozpraszały nieliczne o tej porze światła w oknach i kilka latarni na wewnętrznym podwórku. Świeciły się tylko trzy, bo w pozostałych chuliganeria potłukła żarówki. Zapewne z nudów.

Zapatrzone w dalekie światelka przy Olszewskiego zastanawiał się, jaka ważna sprawa skierowała do niego księdza Jana Bednarskiego. Znali się jeszcze sprzed wojny, ze Lwowa. Chodzili razem do szkoły podstawowej. W trzydziestym dziewiątym, gdy wybuchła wojna, mieli po 9–10 lat. Ojciec Marka zginął podczas kampanii wrześniowej. Ojciec Janka zmarł jeszcze przed wojną. Kiedy do Lwowa weszli bolszewicy, nastąpiły dla nich trudne czasy. Matka Marka pracowała w fabryce szyjącej mundury, a on z młodszą siostrą chodził do szkoły. Teoretycznie polskiej, ale z podręcznikami w języku

rosyjskim. Starsza siostra, żona oficera KOP-u, została wywieziona z dziećmi i teściami zimą czterdziestego roku na Syberię, a jej mąż zginął w Katyniu. Ale o tym dowiedzieli się dopiero po latach. Matka Janka też pracowała w fabryce i to uchroniło ich przed wywózką. Byli biedni i nie zaliczono ich do wrogów klasowych.

Jako wyrostki, z rodzinami, w wagonach towarowych przyjechali do Wrocławia już jesienią 1945 roku. Razem zdali maturę. Łączyły ich wspomnienia uprzątania gruzów, przemierzania morza ruin na piechotę, bo nie wszędzie jeździły tramwaje. Trudności życia codziennego w mieście, gdzie jeszcze przez kilka lat, na każdym kroku, spotykało się wrogo nastawionych Niemców. Brak mieszkań, braki w zaopatrzeniu w żywność, zabijające ludzi niewypały. Ale oni byli młodzi i cieszyli się, że żyją. Ani się spostrzegli, jak minęło dwadzieścia pięć lat.

Zgasił papierosa w doniczce z uschniętą pelargonią i wszedł do mieszkania. Z ciemnych, granatowych chmur zaczęły spadać na ziemię pierwsze płatki śniegu.

\* \* \*

Mięło właśnie południe, gdy Waclaw Majchrzak zaparkował swojego mercedesa na placyku przed winiarnią Silber Taler przy Saarplatz. Grudniowe słońce skąpo ogrzewało powietrze, a wiejący wiatr potęgował uczucie chłodu. Mężczyzna zatrzasnął drzwi auta i zapinając kozuch na dość solidnym brzuchu, energicznie ruszył do wejścia. Dwuskrzydłowe, potężne dębowe odrzwia ozdabiały dwa misternej roboty wieńce adwentowe. Poprawił przekrzywioną gałązkę jednego z nich i wszedł do środka.

Otoczyło go przyjemne ciepło i apetyczny zapach smażonych sznyci. Poczul, jak do ust napłynęła mu ślina i momentalnie przed oczyma ujrzał talerz z okrągłymi, złocistymi kartofelkami posypanymi odrobiną koperku, a obok nich złocisty od przyrumienionej bułeczki kotlet z dużym oczkiem roztopionego maselka pośrodku. Ale w tej samej sekundzie ręką dotknął wystającego brzucha i przypomniał sobie, jak wczoraj wieczorem Bożenka, widząc go nagiego pod prysznicem stwierdziła:

– Wacek! Wyglądasz jak wieprzmac. Albo schudniesz, albo ja odchodzę.

Talerz z kotлетem i kartofelkami odleciał gdzieś w dalekie zakamarki wyobraźni, a Majchrzak wszedł do głównej sali. Jednym spojrzeniem ogarnął porządnie nakryte białymi obrusami stoliki i ławy w stylu, który u siebie, w Polsce określali jako zakopiański, a tutaj w Wiedniu jako rustykalny albo tyrolski. Za barem, ze ściereczką w ręce, sterczał zatrudniony w zeszłym miesiącu Albert, który momentalnie doskoczył do swojego pryncypała, pomógł mu zdjąć kozuch i odniósł okrycie do szatni. Majchrzak zajrzał do kuchni, gdzie wśród śnieżnobiałych kafelek i srebrzystych rondli uwijała się kucharka Renia. Na patelni, na brzegu kuchni, „dochodziły” sznycle. Smakowity aromat wydał się mu jeszcze bardziej intensywny niż przed minutą w hallu. Przełknął ślinę i nachylił się nad patelnię.

– Już gotowe? – spytał, chłonąc zapach całym swoim jestestwem.

– Gotowe, szefie. Nałożyć? – spytała zachęcająco.

Przez sekundę lub nawet mniej przed oczyma mignęła mu mocno umalowana twarz Bożenki ze zmarszczonymi w gniewie ciemnymi brwiami.

– Nakładaj, nakładaj... – zdecydował, zacierając ręce. – I podaj kufel naszego piwa. Masz jeszcze Okocim?

– Mam, dwie skrzynki. Pan Henryk przywiózł w zeszłym tygodniu – trajkotała Renia, nakładając na biały, porcelanowy talerz ciepły sznycel ociekający masłem. – A kartofelki też?

– Kartofelki też. I kapustę – zadecydował z ustami pełnymi śliny, siadając przy oknie, z którego otwierał się widok na letni ogródek, pusty o tej porze.

Mrucząc z rozkoszy, przeżuwał każdy kęs, ciesząc się w duchu, że sprowadził sobie kucharkę z Polski, ze Śląska. Przy najmniej miał porządnie zrobiony kotlet wiedeński. Bo te miejscowe, zdaniem Majchrzaka, nadawały się jedynie do podawania piwa i wina. Do niczego więcej. Nawet w łóżku były gorsze od Polek. Chude tyłki i płaskie cycki. Całe szczęście jego rodaczek w Wiedniu z roku na rok było coraz więcej. Bożenka zajęta księgowością i robieniem zakupów w Naschmarkt nigdy nie zadawała zbędnych pytań.

– A jeśli jeszcze raz coś powie na temat brzucha, to dostanie w pysk. I tyle – pomyślał.

Dopił piwo i beknął na cały głos. W lokalu nikt akurat nie gościł, więc mógł sobie pozwolić. Wyjął z kieszeni spodni notes i spoglądał na długie rzędy cyfr wypisane w równych słupkach. Na jego nalanej, gładko wygolonej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

– A ty, Cygan, już przy korycie od samego rana? – dobiegł go głos Henryka Kopcia, szwagra i współnika jednocześnie, wchodzącego do głównej sali winiarni.

Niewysoki, trochę przysadzisty o ziemistej twarzy i wodnistych oczach, w których uważny obserwator z łatwością mógł dostrzec zamiłowanie do okrucieństwa. Otrzepał sportową ortalionową kurtkę z pierwszych tej zimy płatków śniegu i krokiem Johna Wayne z filmu „Rio Brawo” ruszył w stronę stolika, przy którym siedział Wacek.

– Załatwiłeś wszystko? – spytał Majchrzak z pełnymi ustami, puszczając mimo uszu docinki Kopcia. – Fura gotowa?

Henryk rozejrzał się po sali, a widząc, że barman i kelnerka gdzieś się ulotnili, oznajmił:

– Zapięte na ostatni guzik. Stary Wize przyjął dziś towar, jutro możemy załatwić sprawę.

– Żeby nie było tak, jak ostatnim razem, że w sejfie było tylko kilka nędznych fantów – burknął Wacek, spoglądając na swego szwagra z naganą w oczach.

Przez kilka minut ustalali szczegóły akcji zaplanowanej na nadchodzącą noc, co chwilę sprawdzając, czy ktoś niepowołany nie słyszy ich rozmowy. Kiedy barman wrócił na swoje stanowisko za drewnianym kontuarem i zajął się polerowaniem kieliszków, zmienili temat.

Kilkanaście godzin później Majchrzak, ubrany w czarną, sportową kurtkę i wełnianą czapkę, siedział za kierownicą skradzionego auta, zaparkowanego przy Troststrasse, w miejscu nieoświetlonym przez żadną latarnię. Spojrzał na zegarek – dochodziła druga godzina w nocy. Obok rozparł się Kopeć, również ubrany na czarno. Silnik był wyłączony i w aucie nie działało ogrzewanie. Na dworze prószył drobny śnieg, a temperatura spadła kilka stopni poniżej zera.

– Kurwa, jak zimno – szepnął Wacek. – Długo jeszcze będziemy czekać?

– Kutas, który mieszka obok zakładu, regularnie o pierwszej gasi ostatnie światło i idzie spać. Myślę, że godzina to akurat, aby zapadł w głęboki sen – równie cicho odparł Kopeć.



Kiedy z oddali dobiegł ich dźwięk zegara na wieży kościelnej, nasunęli kominiarki na twarze i wysiedli. Bezszelestnie przebiegli na drugą stronę ulicy, prosto pod drzwi zakładu jubilerskiego Antona Wize. W oknie wystawowym podstawki pod biżuterię stały puste. Heniek kilkoma wprawnymi ruchami unieszkodliwił instalację alarmową i wyciągnął rękę w stronę Wacka. Ten błyskawicznie podał mu zgrabną walizeczkę, w której leżały starannie ułożone różne klucze i specjalistyczne narzędzia do otwierania drzwi.

Gdy Heniek usiłował sforsować zamki, Majchrzak uważnie obserwował okolicę. Co chwilę przenosił wzrok z okna na okno, ale w żadnym nie dostrzegł ani światła, ani tym bardziej jakiegokolwiek ruchu, nawet franki. W końcu zamki poddały się i bezszelestnie weszli do środka, zamykając za sobą drzwi. Oświetlając wnętrza małutkimi latarkami, bez problemu zlokalizowali znajdujący się na zapleczu sejf. Zaopatrzeni w dość prosty zamek, nie opierał się długo wprawionym palcom Heńka. Wnętrze wypełniały wspaniałe, brylantowe kolie, złote naszyjniki, kasetki z pierścionkami i obrączkami, dziesiątki bransolet, a także kosztowne zegarki. Szybkimi ruchami wrzucili całą zawartość sejfu do torby, zamknęli jego metalowe drzwiczki i bezszelestnie opuścili zakład jubilerski pana Wize.

Nie zauważyli, że w oknie na przeciwko, w ciemnościach, stał człowiek. Zbudzony ze snu przez dolegliwości żołądkowe, pijąc rozpuszczoną w wodzie tabletkę na zgagę, obserwował pustą Troststrasse. Kiedy zobaczył dwa cienie wymykające się z bramy numer 15, cofnął się w głąb mieszkania.

Wieczorem przy kolacji, suto zakrapianej alkoholem, Majchrzak i Kopeć świętowali dobrze wykonaną robotę. Głos spikera telewizyjnego zwarzył ich dobry humor:

„...sprawców zuchwałego napadu widział anonimowy świadek, który był na tyle przytomny, że nie tylko zapisał numer rejestracyjny samochodu, którym odjechali z łupem, ale także sporządził na policji ich pamięciowe rysopisy...”